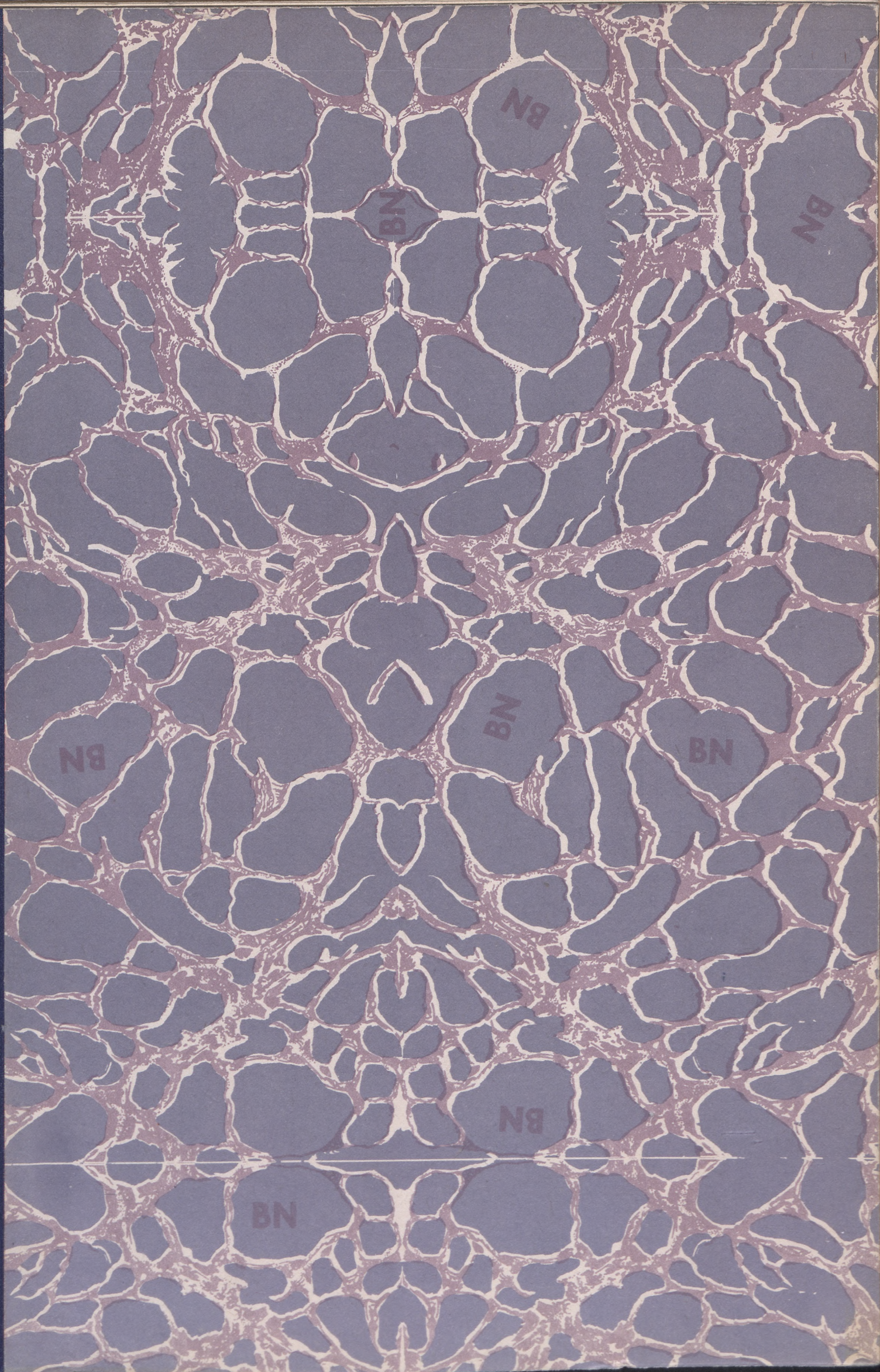
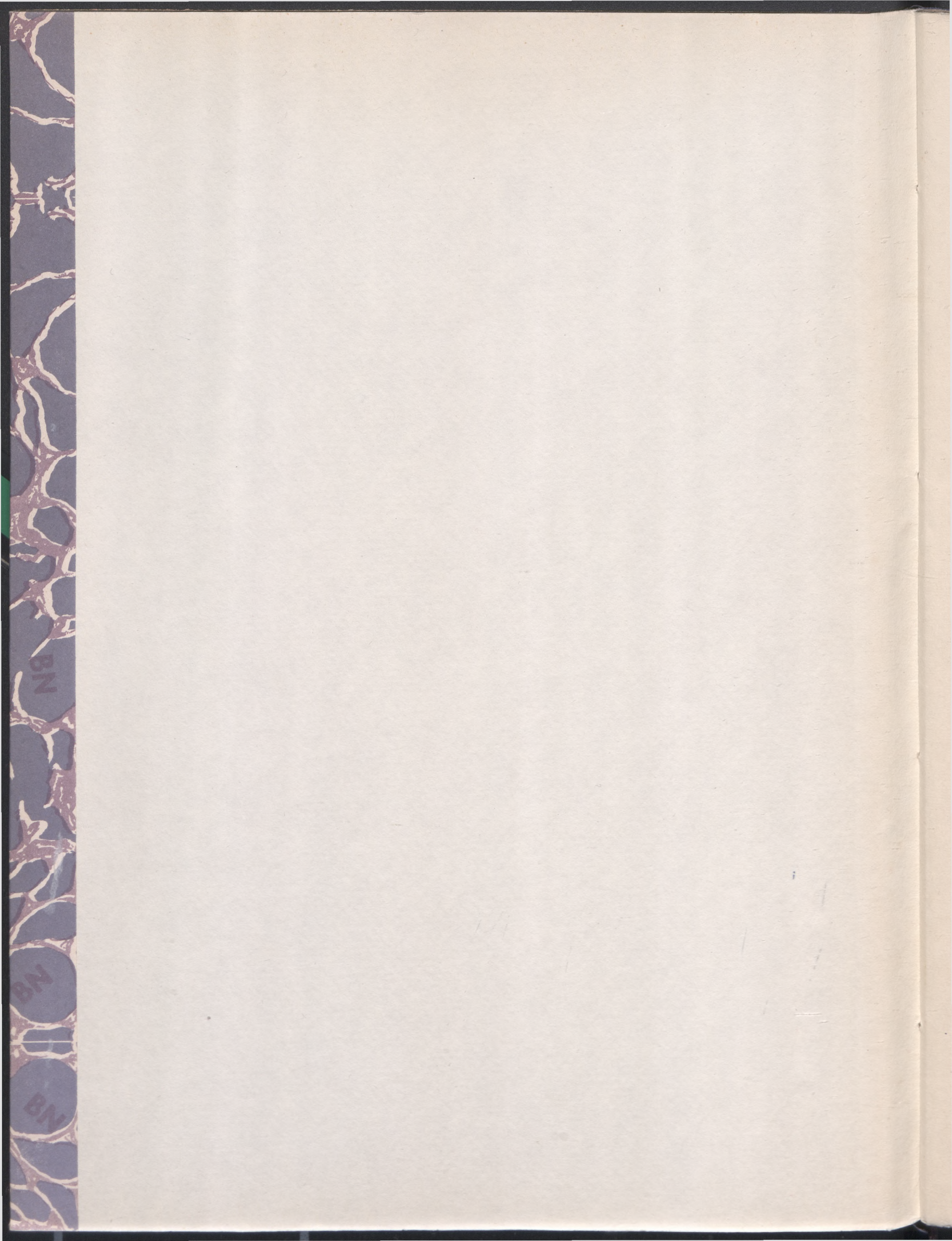


623405\60

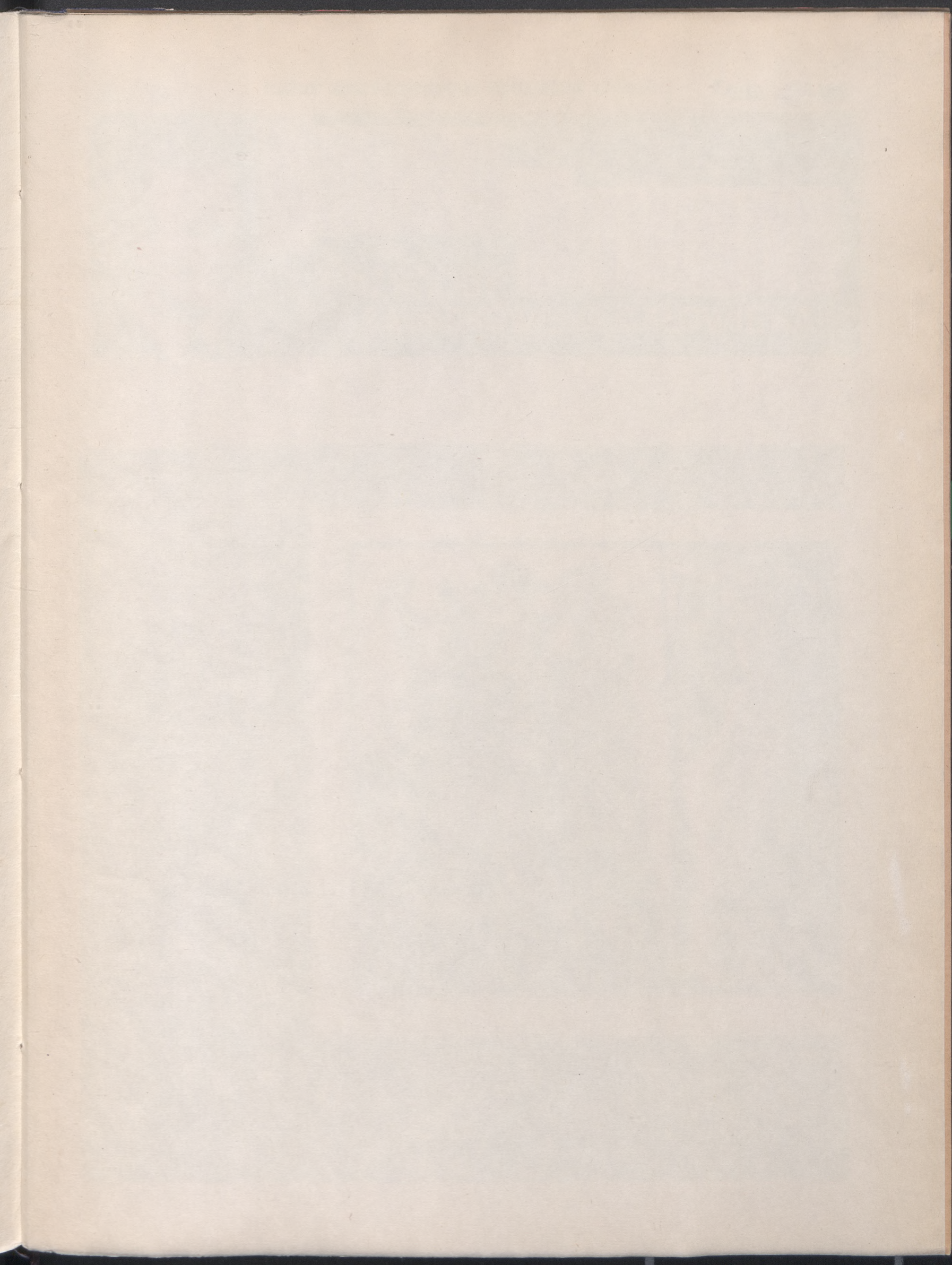




BN

BN

BN





11-023.705/40

2

Nr. 60.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

PRZYGODY  
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

## BAL MASKOWY





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# Bal maskowy

## Zbrodnia

Wielka sala Covent - Garden w Londynie rozbrzmiewała tonami skocznej muzyki, gwarem tysięcznych tłumów, śmiechem i radością. Największy bal w sezonie, największy i najwspanialszy, był w całej pełni.

Był to bal kostiumowy i maskowy zarazem. Udział w nim brało najlepsze, najbardziej zamknięte towarzystwo metropolii brytyjskiej. Kostiumy, jakie się na tym balu oglądało, były nieraz przedmiotem projektów najwybitniejszych malarzy współczesnych, były dziełem rąk prawdziwych artystów igły i kosztowały niejednorodnie setki funtów.

Bal odbywał się pod hasłem: „Noc pod kręgiem polarnym“. Pejzaż zimowy, na tle którego zabawa się odbywała, dekoracje i oświetlenie wielobarwne, stałe się zmieniające — przypominające zorzę polarną — stwarzały całość doprawdy baśniową.

To też nie brak było ludzi, którzy choć nie brali udziału w zabawie, jednak bawili się doskonale.

Dwie pary, wśród tysięcy innych, zwracały na siebie szczególną uwagę.

Był to toreador i Andaluzka oraz para Szwajcarów.

Toreador, doskonale ucharakteryzowany i odziany w strój, jakby wprost z Sewilli sprowadzony, był smukłym, młodym i pięknie zbudowanym mężczyzną. Dwie niewiasty, towarzyszące tym panom, były nawet z pod masek piękne. A Szwajcar — wysoki i szeroki w plecach, był jednym z owych tak dziś modnych typów sportowców, cieszących się największym powodzeniem w świecie niewieścim.

Obie te pary torują sobie nie bez trudu drogę poprzez zwarty tłum bawiących się. Szwajcarzy nikną wreszcie za drzwiami bocznymi, para Hiszpanów rozstaje się, i po chwili toreador otwiera te same drzwi, za którymi zniknęli Szwajcarzy, kluczem, który wyjmuje z kieszeni. Andaluzka miesza się z tłumem.

W tej chwili jakiś mężczyzna, wysoki i szczupły w żółtym dominie, biegnie prawie przez salę, energicznie wszystkich rozpychając.

Przed drzwiami łoży, za którą zniknęła para Szwajcarów i toreador, zderza się żółte domino z otyłym kucharzem. Następuje ostra wymiana

słów. Domino nie baczy na oburzenie kucharza, odtrąca go i atakuje drzwi.

Są zamknięte.

Nagle od wewnątrz rozległ się krzyk... ostry... przejmujący. Krzyk trwogi śmiertelnej, dobywający się z ust kobiecych.

Domino wali teraz pięściami w drzwi tak, że głucho dudnienie rozchodzi się po sali, a ludzie zbiegają się ze wszystkich stron.

Z ustami skrzywionymi w grymasie gniewu, żółte domino wciąż wali w drzwi.

Zjawia się kelner.

— Prędeż, przynieś pan siekiere!

— Co się stało, — rzuca ktoś z tłumy.

— Za tymi drzwiami popelniona została zbrodnia.

— Zbrodnia?!

— Straszne to słowo biegnie po sali, podawane z ust do ust. Zbrodnia na balu w Covent Garden?... Czy to możliwe?... Najlepszy bal w sezonie splamiony krwią?...

— Kto zabił? Kogo? Za co?...

Zabawa cichnie.

Zjawia się kelner z małym toporkiem. Koło drzwi, wiodących do łoży zebrał się już wielki tłum. Domino kilku ciosami siekiery zamienia drzwi w kupę drewna. Muzyka milknie. Na twarzach wszystkich maluje się teraz lęk i niepokój. Człowiek w żółtym dominie wpada do łoży. Panuje w niej kompletna ciemność. Po chwili jasność zapalonej lampy elektrycznej odsłania przerażającą scenę. Na podłodze leży Szwajcarka. Na staniku jej kostiumu widnieje krwawa plama. Nieznajomy w żółtym dominie zdejmuje ze swej twarzy maskę i rzuca ją w kąt łoży. Na jego twarzy rysuje się energia, siła woli i głęboka inteligencja. Władczym gestem zwraca się do tłumy:

— Nikt tutaj nie wejdzie, prócz osób, które mogą w tej sprawie złożyć jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Żółte domino pochyla się nad ranną. Przykłada ucho do jej piersi i ujmuje jej drobna dłoń w kiści.

Po chwili w lekkim uśmiechu rozchylają się usta nieznajomego. Żyje jeszcze. Życie nie uleciało jeszcze z tego wątłego, pięknego ciała.

W progu staje niemłody już człowiek w rokokowym fraku.

— Jestem lekarzem. Czy może mnie pan potrzebować?

— Proszę bardzo, panie doktorze. Bardzo panu potrzebny.

Podczas, gdy doktor zajmuje się raną, wydaje dyspozycje do apteki i bada ją dokładnie, nieznajomy dokonywa jak najdokładniejszych oględzin miejsca zbrodni. Zagadkowy uśmiech pojawia się na chwilę na jego twarzy: dokładnie oto ustalili ślady, prowadzące z kozetki pod oknem na parapet i dalej do ogrodu.

Żółte domino zwraca się do lekarza:

— Co pan stwierdził, doktorze?

— Żyje. Uderzenie sztyletem — w pierś, nieco niżej serca.

— Stan ciężki?

— Oczywiście.

— Ale nie beznadziejny?

— Nie. Przeciwnie. Mam nadzieję, że chora odzyska zdrowie. Czy pozwoli pan, że zdejmę rannej maskę. Może jej brak powietrza.

Domino zamknęło drzwi z całą starannością.

— Proszę zdjąć maskę, doktorze.

Ujrzeli twarz delikatną, o rysach regularnych i pełnych wdzięku. Bogate jasno blond pukle spływały na wysokie i czyste czoło.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł sierżant policji w otoczeniu dwóch konstabli. Wieść o zbrodni na balu rozniosła się szybko poza mury teatru Covent Garden i dyżurny sierżant uważał słusznie interwencję na miejscu za swój obowiązek.

— Nikt stąd nie wyjdzie! — rozkazał sierżant. — Co pan za jeden? — zwrócił się do „domina“.

— Zaraz, zaraz, panie sierżancie, niech tylko pan doktor skończy opatrywanie śmiertelnie rannej. — Jestem. — zniżył głos detektyw. — Harry Dickson.

Te słowa wywarły niezwykle wrażenie na obecnych. Policjanci ustawili się przy drzwiach, a lekarz skłonił się detektywowi z szacunkiem.

Drzwi się otworzyły.

— Proszę nie wymieniać mego nazwiska, — rzekł Dickson.

— Na progu stała Hiszpanka, która zaledwie przed kilku minutami rozstała się z uroczą, teraz raną ciężko i walczącą ze śmiercią Szwajcarką.

Okrzyk przerażenia wydarł się z jej piersi. Cofnęła się, zakryła twarz rękami i wybuchła płaczem.

— Blanko. — zawodziła — Blanko! Kto na ciebie rękę podniósł? Gdzie jest ten zbrodniarz, który godził na twe życie?

Ból tej kobiety, pięknej wprawdzie, ale o urodzie niespokojnej i namiętnej. — sprawiał przygnębiające wrażenie.

— Czy zna pani tę damę? — wskazał Dickson na ranną, gdy „Hiszpanki“ ucichły nieco.

— To moja najlepsza przyjaciółka. Mieszkałyśmy razem przy Charles Street. Ale z kim mam zaszczyt?..

— Jestem wywiadowcą policji. — rzekł Dickson. Detektyw zwrócił się do lekarza:

— Czy można będzie chora przetransportować do szpitala?

— Zdaje mi się, że tak.

Dickson rozkazał policjantom sprowadzić nosze Innemu z agentów polecił, aby udał się na James Street.

— O pięć minut stąd, znajdzie pan na James Street klinikę dr. Mabella, mego dobrego znajomego.

Powola pan się na mnie. Przetransportujemy tam ranną.

— Ależ proszę pana, — zamiepokoiła się Hiszpanka. — Czyżby pan chciał rozdzielić mnie z moją najdroższą i najbliższą przyjaciółką? Zajęłabym się nią jak najgoręcej. Przecież do kliniki przewozi się tylko ludzi nie mających ani rodziny ani przyjaciół.

Na twarzy detektywa zaigrał znów zagadkowy uśmiech.

— Myli się pani, — rzekł ze spokojem. — Właściwą opiekę, zwłaszcza w tak ciężkim stanie może zapewnić chorej tylko klinika. Zresztą — przekonała się chyba pani sama, że ta młoda dama ma wrogów śmiertelnych. Obowiązkiem władz jest zapewnić jej bezpieczeństwo. Pani zaś nie mogłaby zagwarantować zdrowia i życia tej damie.

Nieznajoma szybko zrezygnowała:

— Jeśli nie może być inaczej — muszę się zgodzić z pana decyzją. Mam jednak nadzieję, że będę mogła ją często odwiedzać?

— To już sprawa lekarzy, a nie nasza.

— W ciągu dwóch tygodni musi być chora pozostawiona tylko opiece personelu kliniki. Mam wrażenie, że ten mój pogląd podzieli pan dr. Mabella. Oczywiście, liczę się z tym, że operacja, która jest konieczna, uda się...

— Czyżby pan sądził, że niebezpieczeństwo jest jeszcze wciąż poważne, doktorze?

— Niestety, tak. Życie jej wisi na włosku.

— O, Boże!... — jęknęła głucho, i łkając przyłożyła jedwabną chusteczkę do oczu.

Dwaj policjanci przynieśli nosze.

Ułożyli ranną i wynieśli do karetki, oczekującej przed teatrem i otoczonej gęstym tłumem gawiedzi. Dickson zwrócił się do nieznajomej w kostiumie Hiszpanki.

Jestem zmuszony zadać pani kilka pytań. Proszę o odpowiedzi dokładne i wyczerpujące, umożliwią nam one ujęcie złoczyńcy, na czym pani zależy, co najmniej, tak jak mnie.

Hiszpanka podniosła wzrok na detektywa.

— Słucham pana. Powiem wszystko, uczynię wszystko, aby ująć zbrodniarza.

W głosie jej wyczuwało się nienawiść do człowieka, który zaatakował jej przyjaciółkę.

— Jakie jest nazwisko rannej?

— Blanka van Rheiden.

— Jest z pochodzenia Holenderka?

— Tak jest. Wywodzi się z rodu arystokratycznego, ale zupełnie zubożalego. Obie jesteśmy aktorkami. Występujemy w teatrze Shaftesbury.

— Mam zatem zaszczyt z panią Magdaleną Berdon, czy tak?

— Nie inaczej. Od trzech miesięcy, t. j. od chwili, gdy zaczęłam moje występy w tym teatrze, zaprzyjaźniłyśmy się tak serdecznie, że postanowiłyśmy zamieszkać wspólnie. Mieszkałyśmy przy Charles Street 87, na trzecim piętrze.

— Przybyły panie na bal w towarzystwie 2-3 panów, prawda?

Jakąś się miss Berdon odparła:

— Tak. Towarzyszem Blanki był hrabia Salmon. Moim był... lord... Albo raczej...

Miss Berdon zmieszana się kompletnie.

Detektyw spojrział na nią przenikliwym wzrokiem.

Młoda kobieta uśmiechnęła się sztucznie i ciągnęła:

— Chodzi o to, że nim poszłyśmy na bal, ;ozwoliłyśmy sobie na mały figiel w stosunku do na-

szych towarzyszy. Postanowiłyśmy przebrać się i wystąpić jako para Hiszpanów i Szwajcarów. Gdy kostiumy przybyły od krawcowych, okazało się, że zaszła pomyłka.

Ja miałam występować jako Szwajcarka, a moja przyjaciółka jako Hiszpanka. Krawcowa pomyliła się jednak i dla mnie uszyła kostium Andaluzki, dla mej przyjaciółki — Szwajcarki.

Bawiła nas ta druga, zupełnie nieprzewidziana maskarada. Gdy mi Blanka zaproponowała, aby nic o tej zmianie nie mówić naszym kawalerom, uważałam ten pomysł za koncept wspaniały i zgodziłam się nań chętnie.

W ten sposób Lord Landstope, zamiast towarzyszyć mnie, był przez cały bal kawalerem Blanki, zaś mnie asystował hrabia de la Sallin.

— Gdzie są ci dwaj panowie? — przerwał Dickson.

— Weszli tutaj obaj z Blanką. Przez ten czas wyszłam na chwilę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie mogę przebywać długo w pustych salach. Właśnie w ciągu tej krótkiej chwili nastąpiło nieszczęście.

— Czy nie wie nic pani o tym, komu mogłoby zależeć na zglądzeniu pańskiej przyjaciółki?

— Czy jeden z tych dwóch mężczyzn nie działał z zazdrości?

— Przecież to byłoby straszne, — lamentowała młoda kobieta. — Nie uwierzę w to nigdy!

Miss Berdon poczęła znów gwałtownie szlochać.

— Niechże się pani uspokoi, — upomniął ją Dickson. — Zbadamy wszystko i mam nadzieję, że sprawa się rychło wyjaśni.

Dickson jeszcze raz rozejrzał się po łoży:

— Ślady prowadzą za okno. Oczywiście, bardzo być może, iż ci dwaj panowie wybiegli przez okno za zbrodniarzem. Ale jakoś mi na to nie wygląda. Raczej sądziłbym, iż jeden z nich jest sprawcą. Zbadamy to dokładnie.

Młoda kobieta poprzez łzy bełkotała jakieś niezrozumiałe słowa.

Dickson przyjrzał się jej uważnie.

— Zdaje mi się, że jednak moja hipoteza wydaje się pani prawdopodobna.

— To byłoby zbyt okropne, — łkała...

— Kto zatem mógł być sprawcą, według pani?

— Nie twierdzę niczego... Nie dopuszczam tej myśli do siebie... Ale, gdyby coś podobnego na chwilę uznać za prawdopodobne, to chyba tylko lord godził na moje życie. Dlaczego Jerzy nie wierzył mi? Dlaczego zakłócał nam młode szczęście?...

— Młode szczęście? — powtórzył detektyw. — Jakże węzły łączyły panią z lordem?

Miss Berdon nie dosłyszała w pierwszej chwili pytania.

Dickson powtórzył je.

— Lord Landstope był moim mężem — rzekła wreszcie, oglądając się trwożnie wokół.

— A to ciekawe, — rzekł detektyw, spoglądając na młodą kobietę z niedowierzaniem. — Od dawna już byli państwo po ślubie?

— Od wczoraj...

Dickson był tak zdumiony tą odpowiedzią, że z trudem się opanował, aby nie dać tego po sobie poznać.

Niewątpliwie tylko przez to zdumienie detektyw nie dosłyszał lekkiego szmeru za sobą. W oknie ukazała się czyjaś głowa, obrzuciła Dicksona spojrzaniem bestii krwiożerczej i zniknęła.

Tylko nagła zmiana wyrazu na twarzy artystki spowodowała, że Dickson szybko się odwrócił. Ale już było za późno.

W oczach młodej kobiety dostrzegł Dickson nienawiść ku sobie. Udał, że tego nie zauważył. Ale od tej chwili wiedział już na pewno, że ma do czynienia nie z przyjaciółką, ale z wrogiem denatki.

Detektyw zamknął okno.

— Proszę, miss Berdon, a raczej lady Landstope. Proszę, zechce pani mówić dalej...

Mówiąc to Dickson skłonił się głęboko.

Młoda aktorka zarumieniła się i spuściła powieki.

— Zechce pan nazywać mnie nadal moim nazwiskiem panińskim. Pobraliśmy się w wielkiej tajemnicy. Gdyby nie tak tragiczne okoliczności, nie dowiedziałyby się nikt o tym fakcie.

Ostatnio Jerzy dokuczał mi, był bardzo zazdrosny. Pragnął mnie poślubić jak najprędzej. Tłumaczyłam mu, że na to małżeństwo nie zgodzi się nigdy jego ojciec, a nie miałam zamiaru poślubić go wbrew woli rodziny. Ale ostatecznie uległam. I właśnie wczoraj, w zupełnej tajemnicy odbył się nasz ślub w małym kościółku.

Przez rok mieliśmy nie publikować wieści o naszym ślubie.

Młoda kobieta westchnęła ciężko.

— Przez ten rok liczyłam, że się Jerzy zmieni, że przestanie być tak chorobliwie zazdrosny. Ale już po wyjściu z kościoła — urządził mi scenę. Domagał się, abym opuściła scenę, choć się przedtem godził na mój zawód.

Próbowałam go uspokoić. Wysiłki moje były jednak daremne. Opuścił mnie zły. Groził mi nawet.

— I groźby te spełnił dziś wieczór? — rzucił Dickson.

— Niestety... Tak jest. Postanowiłyśmy grać nasze role jak najskrupulatniej: ja miałam udawać Blankę, Blanka — mnie. Aby się nie zdradzić — postanowiłyśmy milczeć przez cały czas, odpowiadając tylko półśłówkami. Mój mąż sądził wskutek tego, że jestem nań zagniewana i to z kolei rozgniewało go jeszcze bardziej. Może to doprowadziło go do szaleństwa, może dlatego aż posunął się do zbrodni...

— Bardzo być może, że tak właśnie było, — zauważył Dickson, znów uśmiechając się zdawkowo.

Po chwili milczenia Dickson postawił nowe pytanie:

— A jak wytłumaczyć zniknięcie hrabiego Selina? — rzekł wyjmując z kieszeni jakąś złożoną we czworo kartkę.

— Nie wiem... Nie wiem, proszę pana... Może pomógł swemu przyjacielowi w ucieczce, a może... był mu w zbrodni pomocny. Któż to może wiedzieć?

— Istotnie, któż to może wiedzieć... Mielimy nadzieję, że rychło dowiemy się wszystkiego. Wierzę, że uda nam się uratować życie pani przyjaciółce i że lord okaże się niewinny...

Młoda kobieta zadrżała gdy te słowa usłyszała, jakby myśl, że może być inaczej, budziła w niej grozę.

— Czy... pozwoli pan, że już pójdę?

— Jeśli pani zechce, odwiozę ją do domu samochodem.

Miałbym jednak jeszcze jedno, jedyne pytanie.

— Czy nie ma pani najmniejszego podejrzenia, kto mógłby być autorem tego listu, adresowanego do ojca pani męża?



Dickson wręczył młodej kobiecie list, dodając, że otrzymał go od adresata.

List brzmiał:

„Jaśnie Oświecony Lord Camillo Landstope  
w Landstope, Hrabstwo Londyn.

Mylordzie! Syn Pana jest w poważnym niebezpieczeństwie. Wpadł w sidła młodej damy ze świata teatralnego i zamierza obecnie uwolnić się od niej przez zbrodnię. Sądzę, że uzna Pan za właściwe poinformować o tym policję. Niech syn Pana będzie pod czujną obserwacją władz, któreby nie dopuściły do zbrodni.

Zbrodnia ma być popełniona dziś, podczas balu maskowego w Covent Garden.

Przyjaciel rodziny“.

Miss Berden pokręciła przecząco głową i zwróciła list detektywowi.

— Nie mam pojęcia, — rzekła, — kto to pisał. Dickson schował list do portfela.

Zawezwał służbę i kazał przynieść okrycie damy i swe własne.

Po kilku chwilach schodził z nią razem po schodach do wyjścia. Tłum spoglądał na nich z wielkim zaciekawieniem.

W chwili, gdy Dickson otwierał drzwiczki samochodu, ktoś z tłumu zawołał:

— Przecież to Harry Dickson. W takim razie sprawa musi być poważna.

Detektyw dojrzał, jak na dźwięk jego nazwiska wątlwym ciałem jego towarzyszki wstrząsnął dreszcz.

Udawał jednak, że tego nie zauważył.

— Przepraszam, że nie podałem przedtem swego nazwiska, — rzekł. — Jak pani widzi, sprawa jest w dobrych rękach. Proszę nie tracić nadziei. Wszystko jeszcze da się naprawić. Odnajdzie się pani małżonek...

Portier zatrzasnął drzwiczki. Wóz ruszył.

Po kilkunastu minutach detektyw był już z powrotem. Zatrzymał się o kilkadziesiąt metrów od wejścia do teatru.

Po chwili uszu Dicksona dobiegł przeciągiy świst.

Smukła sylwetka młodego człowieka wyłoniła się zza węgła jednego z domów i zbliżała się biegiem ku detektywowi.

— Co słychać, Tomku?

— Wracam z małej wycieczki w okolice Covent Garden, — odparł Tom Wills uczeń i wychowanek Dicksona.

Przed godziną, mniej więcej, Szwajcar i Hiszpan przesadzili żelazne sztachety ogrodu przy teatrze i uciekli, ile tchu, ku miastu. Zatrzymali potem najbliższą taksówkę. Hiszpan podał adres.

Przybiegłem na miejsce po minucie i byłoby na pewno za późno, gdyby nie to, że wielki wóz ciężarowy zatarasował ulicę. Taksówka zwolniła bieg do tego stopnia, że udało mi się ucześcić tylnych zderzaków.

Było tak ciemno, że nikt nie spostrzegł. Tamci w wozie mówili bardzo głośno. Szwajcar był tak zdenerwowany, że krzyczał prawie.

— Tego nie było w naszej umowie, — wołał, — nigdybym się na coś podobnego nie zgodził!

Powtarzał to kilkanaście razy. Nie wiem co miał na myśli.

Wóz zatrzymał się przed domem przy Gordon Street 44. Jest to duża posesja — pałac w ogrodzie. Obaj panowie weszli do budynku.

Szwajcar jakby się wzbraniał, ale „toreador“ wziął go pod ramię i coś mu perswadował.

Czekałem aż nie wyjdą, ale po pół godzinie dałem spokój:

Gdy Tom skończył swój raport — Harry Dickson przesadził ogrodzenie i bez trudu odnalazł okno łoży, w której dokonano zamachu na życie młodej artystki.

Tuż pod oknem widoczne były wyraźne ślady męskiego obuwia. Detektyw niezwłocznie dokonał zdjęcia tych odcisków.

Pod oknem leżał skrwawiony sztylet.

Z uśmiechem triumfu Dickson podniósł sztylet, wytarł go i schował.

— Teraz trzeba ustalić, że sztylet należał do młodego lorda i na tej podstawie aresztować go pod zarzutem dokonania tej zbrodni.

Tak przynajmniej pragnęłaby miss Berdon i ów hrabia Sallin.

Znów ironiczny uśmiech zagościł na twarzy wielkiego detektywa.

Wraz z Tomem Willsem, ruszył Dickson w stronę ulicy.

Ciemności ogrodu wokół teatru ich nagle pochłonęły...

## Hrabia Sallin, czyli dr. Spencer

Dickson i Tom Wills odpoczywają w swym mieszkaniu przy Baker Street.

Detektyw odłożył książkę i zwrócił się do Toma

— Trzeba będzie pójść do kliniki. Dowiem się, jak się miewa nasza pacjentka. Jestem pewien, że będą mnie śledzić. Przebierzesz się i będziesz śledził tych, którzy mnie będą śledzić. Nie trać tych szpiegów z oczu. Muszę znać ich adres.

— Tak jest, mistrzu, — rzekł Tom, wstając.

Po kilku minutach do pokoju weszła młoda i smukła dziewczyna o różowych policzkach.

— Brawo, Tomku, — pochwalił swego ucznia detektyw.

Opuścili dom oddzielnie. Dickson taksówką i autobusem dotarł do kliniki.

Gdy wchodził przez duże drzwi, dojrzał Dickson przez okno położonego naprzeciwko hotelu „Lido“ jakąś głowę, wychylającą się zza firanki.

Dickson wydarł kartkę z notesu i skreślił na niej kilka słów.

— Czy nie miałby pan jakiej pomocnicy, aby ją posłać niedaleko stąd, — zwrócił się detektyw do portiera.

— Oczywiście, Sir.

— Oto szyling dla pana portiera a to dla panienki, — uśmiechnął się detektyw do młodej dziewczyny sprowadzonej przez portiera. — Na rogu stoi wysoka młoda dziewczyna w wieku panienki. Proszę jej wręczyć tę kartkę i nic więcej!

Dopiero, gdy detektyw przekonał się, że jego zlecenie zostało wykonane — wszedł na górę po schodach wyściełanych grubym chodnikiem.

Dr. Macbell, dyrektor i właściciel kliniki był już nie młodym człowiekiem, o szpakowatych włosach i bystrym spojrzeniu.

Panowie przywitani się, tak starzy znajomi.

— Jak się miewa nasza chora? — zagadnął detektyw doktora.

— Nie najgorzej. Operacja, trudna i ryzykowna udała się. Jest jeszcze bez przytomności, ale już ten stan chyba minie.

— Kiedy będziemy mogli przesłuchać chorą, doktorze?

— Nie prędzej chyba, jak po dwóch tygodniach.  
— Szkoda... Bardzo szkoda. Panna Blanka von Rheimen ma niebezpiecznych wrogów. Trzeba uważać nie tylko nad jej leczeniem, ale i nad nią samą, nad jej bezpieczeństwem. Czy ma pan zupełnie pewny personel?

— Absolutnie.

— Poproszę pana zatem, doktorze, aby nie dopuszczał pan do łóża chorej nikogo, bez wyjątku nikogo.

— Niech się pan nie niepokoje. Nie pozostawimy tej pani ani na jedną chwilę samej.

— To bardzo dobrze. Za dwa - trzy dni zajrzę znów tutaj.

Detektyw pożegnał się z lekarzem.

★

Czyniąc rozmyślnie okrażenia i znów zmieniając co pewien czas środek lokomocji, dotarł Dickson do domu przy Gordon Street 44, gdzie poprzedniej nocy, w oczach Toma, wysiedli z samochodu Szwajcar i toreador.

Dom był zamknięty. Dickson zadzwonił.

W drzwiach zjawił się stały portier i mruknął:

— Czego pan sobie życzy?

Banknot dziesięcioszylingowy zmienił od razu usposobienie woźnego.

— Czy pan hrabia jest w domu?

— Pan hrabia Sallin?

— Naturalnie, że pan hrabia Sallin. Pytam, czy jest w domu.

— Zaraz zobaczę, proszę pana.

Ale Dickson ruszył za portierem i zatrzymał go.

— Niech się pan nie trudzi. Jestem starym przyjacielem hrabiego. Zrobię mu miłą niespodziankę.

Dickson wiedział, że w tym domu należy być na wszystko przygotowanym. Szedł przeto po schodach z bronią w jednej ręce i uniwersalnym kluczem w drugiej.

Z wielką ostrożnością, detektyw wszedł do pierwszego z pokoi.

Szuflady pootwierane, porozrzucane rzeczy i wielki nieład w całym pokoju świadczyły, że pan hrabia opuścił go w pośpiechu i że nie zamierza doń szybko wrócić.

Dalsze pokoje świadczyły również o pośpiesznej wyprowadzce.

— Trzeba teraz ustalić, kim jest ów hrabia naprawdę, — rzekł Dickson do siebie.

Nagle, w jednym z pokoi rozległ się podejrzany szmer zza kotary.

Dickson drgnął, wymierzył broń w tym kierunku i rozkazał:

— Naprzód. Wylazić, bo strzelam!

Perlisty śmiech rozległ się zza kotary.

— Proszę schować to cacko, mistrzu. — śmiał się Tom Wills, ciągle jeszcze w przebraniu młodej dziewczyny.

— Co ty tu robisz, smyku jeden?

— Jestem, mistrzu.

— A stary niedźwiedź przy wejściu przepuścił cię?

— Zrobiłem do niego najpiękniejsze oko, jakie zrobić potrafi młoda i piękna dziewczyna. Nie oponował i nawet uśmiechnął się do mnie.

— A pociósł tu przyszedł?

— Przyszedłem na milczące zaproszenie pewnego pana, który obserwował mistrza z hotelu „Lido”. Ów jegomość zlekka utyka, co mnie tym bardziej zaintrygowało, że mam pewnego utykającego

przyjaciela, z którym należałoby załatwić rachunki i że ów utykający pan z hotelu wszelkimi siłami starał się to swe niedomaganie ukryć.

— Utykał, powiadasz? Czyżby to był nasz „kulawy“?

— To on sam, we własnej osobie, mistrzu.

— Szedłem za nim. Kluczył i kołował, jak mógł, ale nie wiedział, że go śledzę. Wreszcie zniknął w domu naszego starego przyjaciela — dr. Spencera.

Harry Dickson zerwał się, jakby go pies ukąsił. Dr. Spencer! Najgenialniejszy z przestępców działających ostatnio w Londynie. Śmiertelny wróg Dicksona, z którym walka, ze zmiennym szczęściem toczyła się już od dłuższego czasu.

— Co dalej, chłopcze?

— Dalej, ten sam kulawy wszedł do tego domu. Musiało mu się bardzo śpieszyć. Przy wejściu portier musiał mu powiedzieć coś nieprzyjemnego, bo wyleciał z domu, jak z procy. Byłem ciekaw co się w tym domu dzieje i dostałem się tutaj. To wszystko, mistrzu.

— Zatem dr. Spencer i hrabia de Sallin to jedna i ta sama osoba! Nareszcie wiemy wszystko! Dzielnie spisałeś się, chłopcze!

Dickson podniósł głos.

— Spencer! — groził niewidocznemu w tej chwili wrogowi. — Zderzałem się już kilkakrotnie, ale tym razem spotykamy się po raz ostatni. Wybiła twoja ostatnia godzina wolności! Biedny lord, skoro się dostał w szpony tak strasznych złoczyńcy!

## Harry Dickson pod pręgierzem

Lord Jerzy Landstope, syn lorda Camillo z Landstope, położonego o pięć godzin jazdy od stolicy, zamieszkiwał większą część roku w Londynie, w swej pięknej willi w dzielnicy wschodniej.

Dicksona łączyły z lordem-ojcem stosunki bliskiej zażyłości. Z tej racji sędziwy arystokrata, gdy otrzymał list, donoszący o niebezpieczeństwie, grożącym synowi, nie zwrócił się do policji, lecz do swego dawnego znajomego — Harry Dicksona.

List doszedł do rąk detektwa późno wieczór. Dickson nie mógł uczynić nic więcej, niż uczynił podczas balu w Covent Garden. Że nie osiągnął całkowitego sukcesu — o tym czytałaik miał się możliwość przekonać. Sprawa przedstawiała się nad wyraz tajemniczo.

Dickson wiedział teraz z całą pewnością, że jeden z najgroźniejszych przestępców londyńskich — dr. Spencer zadał młodej artystce śmiertelną ranę. Trzeba było teraz zbadać dom młodego lorda.

Dickson udał się do willi lorda wraz z Tomem Willesem. Był już zmrok, gdy dotarli na miejsce. Wydawało się, że dom jest zupełnie pusty. W oknach na górnym piętrze opuszczone były żaluzje.

Gdy na dzwonki nikt nie reagował, Dickson bez wahania zastosował swe wytrychy.

Weszli. Znaleźli się w mieszkaniu urządzonym z niezwykłym przepychem. Stopy ich tonęły w najwspanialszych dywanach perskich. Obrazy o muzealnej wartości, wspaniałe posagi i rzeźby zdobiły hall i pokoje.

Na piętrze, w szatni wisiał kapelusz lorda i jego pałto.

Lord musiał zatem być w domu. Widać było, że niedawno wrócił z miasta.

Gdy Harry Dickson i Tom Wills przestąpili próg pierwszego na górze pokoju — cołnęli się od proga, przerażeni.

W pozycji napół leżącej a na pół siedzącej spoczywał na tapczanie człowiek -- już nie żywy.

Tuż obok -- leżał na podłodze rewolwer. Rana skroni świadczyła, iż kula, samobójcza kula, trafiła właśnie w to miejsce.

— Czy lord? — szepnął Tom.

— Nie wiem. Wiem tylko, że ten człowiek jest ofiarą Spencera, niezależnie od tego, czy padł z własnej ręki, czy ręki mordercy.

Dickson począł badać kieszenie zmarłego.

Pierwszą rzeczą, którą znalazł, był portfel.

Inicjały lorda w złocie, przymocowane do portfela świadczyły, że był on jego własnością.

Dickson zbadał zawartość i nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia: pierwszą rzeczą, na którą się natknął, było świadectwo ślubu młodego lorda i aktorki Magdaleny Berlon.

Ponadto w portfelu znajdowała się znaczna suma pieniędzy. Dickson schował portfel do swej kieszeni.

Detektyw przyglądał się teraz uważnie ranie.

— Ten człowiek nie mógł sobie odebrać życia, — rzekł detektyw. — Kula ma kierunek z góry na dół. Nikt tak strzelić do siebie nie potrafi.

Detektyw wyjął teraz z kieszeni kopię odcisków obuwi, znalezionych koło okna w Covent Garden.

Wystarczyło przyłożyć papierowy szemat do kamaszy zmarłego, aby stwierdzić, że nikt inny, jak on właśnie, uszedł wraz z hrabią de Sallin przez okno z gmachu teatru.

— Zatem jednak lord był sprawcą zbrodni w teatrze, — rzekł Tom. — Lord wraz ze Spencerem, czy nie tak, mistrzu?

Detektyw wzruszył ramionami.

Było już ciemno zupełnie, gdy opuścili dom lorda.

Gdyby jeden z detektywów obejrzał się i umiał widzieć w ciemności, ujrzałby skrzywioną w straszonym grymasie twarz „kuławego”. Dr. Spencer był w domu, który przed chwilą opuścił Dickson i jego uczeń.

Dickson znał kilka pracowni kostiumów teatralnych. Po przybyciu do domu, detektyw zadzwonił do najpopularniejszego z nich.

— Czy nie zamawiano u państwa w ostatnich dniach kostiumów hiszpańskich i szwajcarskich?... — zagadnął detektyw kierownika pracowni.

Odpowiedź padła natychmiast i bez wahania:

— Tak jest. Zamawiał lord Landstope. Przesłałmy je do willi lorda. Rachunek został pokryty na miejscu.

Dickson liczył, że okaże się, iż nie lord, lecz hrabia de Sallin zamówił owe kostiumy. W tych warunkach sprawa się znów komplikowała.

★

Pierwszą rzeczą, która nazajutrz rano znalazła się w ręku Dicksona, była mała gazetka, ani nie poważna, ani nie specjalnie poczytna, nadesłana snadko do detektywa umyślnie.

Dickson rozwinął dziennik. Na pierwszej stronie ujrzał swe nazwisko, wydrukowane wielkimi literami.

„Harry Dickson — wywiadowca, czy przestępca?” — czytał detektyw.

W dalszym ciągu artykuł, wydrukowany na pierwszym miejscu i dużymi literami, brzmiał, jak następuje:

„Człowiek, któremu wszyscy ufamy i którym nie przestajemy się zachwycać -- ostatnio, zresztą

o ile nam wiadomo, nie po raz pierwszy potknął się i to poważnie.

Mamy na myśli znakomitego detektywa Harry Dicksona, a potknięciem się, nie chcąc wyrażać się mocniej, nazywamy fakt, iż ten pogromca przestępców uległ ostatnio dobrze zrozumiałej i wielkiej pokusie, przyswajając sobie portfel ze znaczną sumą, znalezioną w kieszeni zmarłego.

Dickson — złodziejem, Dickson — hieną, zerującą na pobojuwisku?

Oto są fakty, które dostarczą nam odpowiedzi na te wątpliwości.

Rzecz się działa podczas balu w Covent Garden. Wybiła już północ, gdy słyszeć przeszył okrzyk: „Ratunku! Pomocy!”

Muzyka zamilkła, powstał prawie popłoch. Niestety, okrzyk nie był daremny. W małej bocznej łoży znaleziono umierającą, znaną artystkę rewiiwa, Blanę van Rheaden.

Rzecz szczególna, że wśród gości balowych nie zabrakło i Harry Dicksona.

Z właściwą sobie pewnością siebie człowiek ten nie dopuścił do rannej niki i od razu pokierował dochodzeniem w sposób, jaki uznał za wygodny dla siebie.

Mamy wszelkie dane, aby twierdzić, że Dickson wiedział doskonale kim jest przestępca. Wiedział, że zbrodni dokonał Lord Landstope. Dlaczego jednak o swych ustaleniach nie powiadomił władzy śledczej?...

Dziś rzecz się wyjaśniła. Dickson nie uczynił tego dlatego, że wolał dostać się do willi lorda. Znalazł go tam bez życia, zmarłego śmiercią samobójczą.

Znów, zamiast powiadomić władzę, Dickson działał na własną rękę. Zaczął mianowicie od tego, że przywłaszczył sobie portfel z okrągłą sumką, którą zmarły miał przy sobie.

Ale opinia publiczna czuwa. Opinia publiczna nie da się otumanić wielkim nazwiskiem. Nie na tym koniec. Oto w ciągu ostatnich godzin ciało lorda zniknęło również z willi, we wschodniej dzielnicy miasta.

Śmiemy twierdzić, co się samo przez się nasuwa, że Dickson o tym zniknięciu potrafiłby niejedno powiedzieć!

Oto jest sługa sprawiedliwości, który ograbia nieżywych, a potem ich usuwa! Czy nie czas skończyć z legendą Dicksona?”

Na tym kończył się artykuł.

Dickson czytał go ze wzrastającym gniewem.

Następstwa tego niepoczytalnego oskarżenia nie dały na siebie czekać.

Zaledwie, wściekły z gniewu, cisnął Dickson ów brukowiec na podłogę, gdy mistress Crown — gospodyni detektywa oznajmiła mu wizytę Bell Claevera:

Bell Claever był prawą ręką intendenta policji londyńskiej.

Przyjaciel od dzieciństwa detektywa — Bell stanął w progu gabinetu Dicksona i uśmiechał się doń serdecznie.

— A to cię ubrał?! Masz teraz! „Hieną” jesteś. Masz! Dobrze ci tak!

Wysoki urzędnik Scotland Yardu śmiał się do rozpuku.

— Łatwo ci się śmiać. — rzekł Dickson ponuro. Pociąg przyszedł? Czy chcesz mnie aresztować? Kajdany mam w palcie. Mogę ci pożyczyc. Oddasz mi je, gdy mnie doprowadzisz do aresztu.

Bell spoważniał nagle.

— Dostyc tego blaznowania. Przychodze, aby cie zapytac, czy zyczysz sobie, aby zaaresztowac autora tej napaści, czy tez chcesz poslac sprostowanie?

— Sprostowanie?... — powtorzył Dickson. — Żebym wiedzial dokladnie co prostowac. Ale to rzecz nie tak latwa. Nie wiem, przede wszystkim, czy zabitym jest istotnie lord. A jezeli wlasciwy zabojca usunal cialo aby utwierdzic wszystkich w mniemaniu, ze wlascnie lord popelnil morderstwo, a potem odebral sobie zycie — to ow morderca jest wsciekle przebieglym i nieslychaniem szczwanym.

— Co zatem powiedziec intendentowi?

— Przede wszystkim wręcz mu portfel, ktorego od wczoraj w nocy do dzis rana zlozyc we wlasciwe rece nie zdazyłem, bo zdazyć nie mogłem. Powiedz dalej szefowi, ze na razie nie odpowiemy nic. Za czterdzieści osiem godzin wyjasnie cala sprawe!

— Doskonale, — odparł policjant. — Szykujemy dobra cele dla tego ptaszka. Do widzenia.

— Do widzenia.

Bell Cleaver był juz koło drzwi, gdy go Dickson zatrzymal:

— Pójdziemy razem. Poczekaj. Przydasz mi się po drodze. Moze wczesniej zlikwidujemy cala sprawe.

Dickson szybko uczynil przygotowania. Wydal instrukcje Tomowi i wraz z Bellem wyszedl z domu.

— Czy wiesz dokad idziemy?

— Jakze moglbym wiedziec?... Kto wie, co tobie w glowie swita...

— Idziemy do naszego wspólnego przyjaciela, pana doktora Spencera. I coz ty na to, mój stary?

— Do Spencera?... Nie żartujesz?... Bell Cleaver był poruszony do żywego.

— Nie żartuje ani troche. Tym razem skoncze z tym lotrem. Ręczę ci, ze go bedziesz miał moze juz za godzinę, a na pewno w ciągu dwóch dni.

Cleaver spowaznial:

— Ostrożnie, Dickson. Ten czlowiek to zbrodniarz bez sumienia. Gotow zabic przy najblaszzej okazji!

— Wiem o tym i dziekuje ci za to przypomnienie. Ale przysialgem, ze uwolnie Londyn od tego potwora. On, albo ja. Dla nas dwóch nie ma miejsca pod sloncem!

Harry Dickson wypowiedzial te slowa z taka mocą i takim tonem, ze Bella aż ciarki przeszly. Wiedzial, ze toczy się tu walka na smierc i zycie.

Po pół godzinie znaleźli się przed domem Magdaleny Berdon.

Portier poinformowal ich, o czym juz zreszta Dickson wiedzial dobrze, ze artystka mieszka na trzecim pietrze.

Przyjela ich, odziana w piekny pegnoir, w saloniku urzadzonym z wielką oryginalnością i wschodnim smakiem.

Młoda kobieta była niezwykle uprzejma. Dickson przygladal się jej badawczo.

Czy bylo do pomyslenia, aby ta piekna kobieta była wspólniczką przestepcy tej miary, co Spencer, aby dzialala z nim w zмовie?...

Dickson staral się zawsze wczuc w logike i sposob myslenia przestepców. Jaki był w tym wypadku plan Spencera?

Nie inaczej, tylko ten król zloczynców rozumowac musial w sposob nastepujacy:

Młody lord pozbawia zycia mloda osobe na balu. Jest przekonany, ze to jego zona i powodowany zazdrością zadaje jej smiertelny cios. Potem dzialajac pod wpływem rozpacy i wyrzutów sumienia — sam

pozbawia się zycia. Pozbawia się zycia tym bardziej, ze dowiaduje się, iz zabil niewinna, ze nastapila fatalna zamiana kostiumów.

Co Spencer osiaga przez takie naklonienie lorda do morderstwa? Osiaga to, ze Magdalena Berdon — prawnie przez lorda poslubiona — zamiast pasc ofiarą zazdrosnego malzonka — staje się dziedziczką milionowej fortuny mlodego lorda! I jezeli Magdalena Berdon jest przyjaciółką i wspólniczką Spencera, tedy suma, która jej przypadnie w spadku po lordzie — starczy dla nich obojga. Zatem Magdalena musiala być w zмовie ze Spencerem.

Co czyni Spencer, aby tę wersję uprawdopodobnić?...

Oto pisze do lorda — seniora ów list o grozącym jego synowi niebezpieczeństwie. I gdyby lord zwrócił się z owym anonimem do policji a nie do Dicksona, najpewniej sprawa zostalaby juz dawno umorzona.

Lord-junior usilowal zabic z zazdrości. Omylil się i ofiara padla niewinna zgoła Blanka von Rheiden. Potem odebral sobie zycie, cialo jego zostalo porwane i wreszcie nieutulona w żalu wdowa, wraz ze swym szczęśliwym przyjacielem dr. Spencerem wchodzi w posiadanie olbrzymiego majątku po lordzie. W portfelu lorda przeciez znajdowal się akt ich slubu — dokument najwazniejszy.

Tyle tylko, ze jedna okolicznosc psula ich szyki. Oto biedna Blanka von Rheiden „powinna była“ umrzeć od ciosu sztyletem. A Blanka czula się coraz lepiej.

O tym wszystkim rozmyslal Dickson, gdy przygladal się pięknej artystce.

— Proszę przyjac moje szczere kondolencje z powodu zgonu malzonka pani, — zaczął detektyw. — Niewatpliwie fakt, iz odebral sobie zycie, jest juz pani znany?

Młoda kobieta opuscila glowe i bez slowa wskazala na egzemplarz tej samej gazety, która przyniosla Dicksonowi poranna poczta.

— I pani dostala to piśmidlo? — zdziwil się detektyw.

Magdalena Berdon nie dala się wytracic z równowagi:

— Pokojówka przysiala mi przed kilkunastu minutami... Jestem jeszcze tak bardzo oszolomiona tą straszną wieścią...

— Istotnie, to bardzo przykre.

Dickson postanowil teraz wystapic z bronią cieższego kalibru. Jezeli po tym ciosie Magdalena zachowa spokój, — to bedzie to znak, ze albo jest niewinna, albo tez, jest wyrafinowana i okrutną zbrodniarką.

— Istotnie, to bardzo przykre. — ciagnal Dickson. — Ale w kazdym nieszczęściu znalezc można pewną pociechę. Moze pocieszy pania wieść, ze panna von Rheiden czuje się znacznie lepiej i ze juz wkrótce dowiemy się, jakie byly bodźce, które sklonily malzonka pani do tak strasznego czynu.

Z wielkim triumfem, któremu oczywista na zewnątrz nie dal zupełnie wyrazu — detektyw spostrzegł, ze Magdalena zbladla, ze schwycila się kurczowo za poręcz fotela i ze, wreszcie, slaniając się, krzyknela, jakby ja coś przerazilo.

Opanowala się od razu.

— Przepraszam pana... Nerwy, przeżycia dni ostatnich wytracily mnie z równowagi...

— Rozumiem to aż nadto dobrze. — rzekł detektyw. — Pozwolj pani jednak na jeszcze jedno pytanie:

— Czy nie zna pani dr. Spencera?

Dickson postawił to pytanie nagle.

Ale tym razem młoda kobieta opanowała się po mistrzowsku.

Spojrzała na detektywa z dziwionymi oczami i rzekła:

— Dr. Spencer?... Któż to taki?

Uśmie się jednak doskonale maskować — pomyślał Dickson.

Detektyw skłonił się i opuścił dom artystki.

Na dole czekał Bell Cleaver.

— Jak przypuszczasz, — zwrócił się doń Dickson, — co czyni teraz ta pogrążona w nieutulonym żalu żona, na wieść o śmierci swego małżonka? Nie domyślasz się, oczywiście. Otóż gotów jestem założyć się, że telefonuje.

— Do kogo?

— Do pana doktora Spencera. Przygotowałem już na najbliższej poczcie maileńki podsłuch. Pędzę, bo może być za późno.

Poczta była tuż. Po kilkunastu minutach Dickson wracał rozpromieniony.

— Zgadłem, — wołał. — Wiem już teraz prawie wszystko. Czekala dość długo, ale potem zadzwoniła pod numer, który ma dla mnie znaczenie kłopotliwe, bo wiem, gdzie szukać Spencera i wypowiedziała tylko jedno jedyne zdanie, gdy odezwał się głos męski: „Uwaga — niebezpieczeństwo — Dickson“.

Bell Cleaver spoglądał na Dicksona z dziecięcym zachwytem.

— To cudowne doprawdy... To cudowne, — powtarzał.

— Cudowne będzie dopiero wtedy, gdy go zamknijemy, mój drogi. Idziemy, Bell!

— Dokąd?

— Dokądby, jeśli nie do mieszkania pana doktora Spencera, — rzucił Dickson.

Z oczu detektywa sypały się iskry gniewu.

## Aresztowanie i ucieczka

Dickson wiedział wprawdzie, że Spencer jest wyidealizowanym i zuchwałym złoczyńcą, ale nie spodziewałby się nigdy, że go zastanie w jego własnym mieszkaniu. Mieszkał tam otwarcie jako dr. Spencer — chemik, który rzekomo prowadził laboratorium.

Wspominaliśmy już, że zarówno Dickson, jak i Scotland Yard mieli informacje o coraz mniej podejrzanej, a Dickson wręcz przestępnej działalności owego króla londyńskiego świata podziemnego. Ale Dicksonowi przez myśl nie przeszło, aby jego wróg mógł w tak trudnych dla siebie chwilach pozostawać z całym spokojem w swym własnym, jawnym mieszkaniu.

Z bronią gotową do strzału wszedł detektyw do mieszkania, z którego w każdym kącie groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Służący był głuchoniemym. Gdy nieświadom tego, Dickson próbował się z nim dogadać — stanął nagle w progu sam gospodarz.

— Co za gość! Co za niezwykły gość! Bardzo proszę. I bardzo się cieszę.

Spencer klaniał się głęboko.

Dickson na ukłony odpowiadał ukłonami, ale baczni równocześnie na to, aby gospodarz szedł przodem, a rewolwer ukryty w rękawie raz po raz podsuwał bliżej dłoni.

Weszli niemal jednocześnie do pokoju.

Siedli naprzeciw siebie. Dickson położył rewolwer na kolanach.

— Młodszy pan z dnia na dzień z roku na rok, doktorze, — zaczął rozmowę detektyw.

— I pan, jak widzę, cieszy się dobrym zdrowiem. Pozwoli pan...

— Stop! Na nic nie pozwolę... Proszę opuścić rękę bo inaczej...

Spencer ujrzał lufę rewolweru skierowaną w swą pierś.

— Czego pan chce ode mnie? Nie wychodzę od tygodnia z domu, jestem teraz chory. — Spencer zmienił nagle ton, przestał grać komedię.

— Proszę oddać mi rewolwer, który ma pan w rękawie! — rozkazał Dickson.

Pod lufą swej broni, skreślił w swej stalowej dłoni dłoń przeciwnika. Rewolwer wypadł z rękawa.

— A teraz — ciągnął znów Dickson — podejdzie pan do okna, Spencer.

Z wyrazem bezsilnej wściekłości, Spencer podszedł do okna.

— Widzi pan tam dobrego, zdaje się, znajomego, — wskazał mu Dickson Cleavera. — Bell czeka tu na mnie, ale tylko dziesięć minut. Po tym czasie zjawią się tutaj z kilkunastu ludźmi. Radzę więc ruszać ze mną.

Spencer nie sprzeciwiał się.

Dickson szedł za nim z rewolwerem niemal przyłożonym do jego boku.

Mijali właśnie krzesło, gdy Dickson nagle zawołał:

— Siadaj pan na tym krześle.

Spencer zdany całkowicie na łaskę i niełaskę detektywa nie sprzeciwiał się.

— Wyciągnij pan nogi.

Przez chwilę próbował się Spencer opierać, ale rewolwer oparty o jego pierś, szybko go usposobił inaczej.

Dickson przyłożył drugi odcisk obuwia spod okna do podeszwy złoczyńcy.

— Pasuje idealnie! Teraz już mam nareszcie jeden dowód rzeczowy, poza świadkami. Idziemy!

Spencer szedł z opuszczoną głową.

— Wygrał pan, Dickson, — mamrotał Spencer, — ale...

Detektyw poczuł, że grunt usuwa mu się pod nogami i gdyby w ostatniej chwili nie odskoczył w bok, zapadłby się na pewno gdzieś pod podłogę.

Spencer zniknął. Jego, niczym szatański śmiech rozbrzmiewał jakby między murami.

Nadbiegli konstable z Bill Cleaverem na czele. Przeszukali cały dom. Ale Spencer był nieuchwytny. Zniknęli również jego dwaj służący.

★

Dickson pojechał wprost do kliniki dr. Macbella. Lękał się o zdrowie Blanki.

Okazało się, że jego obawy były słuszne. W nocy dostał się pod same okno jakiś złoczyńca i próbował się zakraść do pokoju chorej. Na krzyk pielęgniarki nadbiegł doktor i strzelił w kierunku złoczyńcy. Musiał go trafić, gdyż stwierdzono ślady krwi pod murem.

★

Detektyw wrócił do domu.

— Nie spuszczaaj oka z miss Berdon — rozkazał Tomowi. — Jąde do willi lorda Landstope. Gdybyś się mnie pod wieczór nie doczekał — wyjdź mi na spotkanie.

## Wiezień czerwonego młyna

Zachowując jak największą ostrożność, Dickson przekroczył furtkę ogrodu, okalającego wille młodego lorda.

Bystre oko detektywa od razu zauważyło świeże ślady małego dwukołowego wózka, wiodące ku ulicy. Przed bocznym wejściem do willi widać było ślady, które mogły wyźłobić obcasy, człowieka wleczącego pod pachy.

— To ten sam człowiek, którego ciało tu oglądałem. — rzekł detektyw do siebie.

Otworzył drzwi wytrychem. Panowała tu zupełna cisza.

Nagle Dickson począł nadsłuchiwać. Zdawało mu się, że skądś, z głębi domu uszu jego dobiegł jakiś krzyk.

Krzyk był z każdą chwilą wyraźniejszy. Pochodził z dołu, nie było już teraz najsłabszej wątpliwości.

Dickson zawsze gotów do okazania pomocy człowiekowi w potrzebie — zbiegł szybko po schodach.

W tym samym czasie otworzyły się jedne z bocznych drzwi i z bestialskim uśmiechem na ustach ukazał się w nich „kulawy“.

I ymczasem Dickson zbiegł już do piwnicy. Był gotowy na wszystko i liczył się z tym, że może w każdej chwili być zaatakowany.

Dwie ciemne sylwetki zarysowały się w mroku piwnicy...

Ale nim Dickson zdążył pociągnąć za cyngiel — poczuł, że jakiś olbrzymi głaz zwała mu się na głowę. Zdawało mu się, że czaszka już pęka — tak silny i gwałtowny ból zadał mu jeden z czyhających nań złoczyńców. Od uderzenia rura żelazną w głowę — Dickson stracił przytomność i padł jak kłoda.

Czterech ludzi przeniosło go na górę.

Rozkazy wydawał triumfujący, zacieraający z zadowolona ręce „kulawy“.

Gdy znaleźli się na świeżym powietrzu, gdy rzeźki wiatr począł muskać policzki Dicksona — detektyw zwolna począł przychodzić do siebie.

Odzyskał wreszcie przytomność o tyle, że czuł, iż go kładą na wózek, że słyszał co jego oprawcy mówią i że czuł okropny ból głowy.

Wózek ruszył. Wstrząśnienia spowodowały nowe gwałtowne bóle głowy, ale jednocześnie detektyw zdał sobie sprawę, że czaszkę ma nienaruszoną i że myśl jego pracuje z jawną sprawnością.

Leżał przykryty plandeką. Wieźli go ciągle jeszcze przez ogród.

Twarda płachta leżała na Dicksonie w ten sposób że tworzyła liczne załamania. Widać przez nie było skrawek ziemi. Dickson przesunął się w ten sposób, oczywiście poruszając się bardzo powoli i nieznacznie, że widział teraz na znaczny dystans przed sobą.

Wieźli go ku Tamizie. Ręce i nogi miał związane.

★

Zaledwie wózek oddalił się o kilkanaście metrów, a zza drzew wyłoniła się już młodzieńcza sylwetka Toma Willsa.

Tom zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im obu groziło. To też krył się jak najstaranniej.

Zgodnie z dyspozycją swego mistrza — pilnował mieszkania Magdaleny. Widział ją dość wcześnie jeszcze, jak w ubraniu podróżnym, w towarzystwie pokojówki wyszła na miasto.

Magdalena szła na dworzec. Gdy już nabyła bilet — Tom wylegitymował się wobec kasjera i bez trudu ustalił, iż młoda aktorka jechała do Landstope, wiejskiej posiadłości lordów, odległej od Londynu o z górą godzinę drogi.

Tom zwykł był stosować się dokładnie do zaleceń swego mistrza. Udał się tedy do domu i czekał na Dicksona, pewien, że lada chwila nadejdzie.

Gdy jednak mijała jedna godzina i druga a Dicksona nie było — Tom udał się do willi lorda.

Młody człowiek wiedział dobrze, że czeka go może najcięższa w życiu przeprawa. Ale fakt, że chodzi o bezpieczeństwo jego ukochanego mistrza dodawał mu energii i odwagi. Był szczęśliwy, że zjawił się akurat w tej chwili. Był dumny z tego.

Dwóch zbirów pchało wózek, a jeden go ciągnął. Zdażali teraz przez lekko zadrzewioną okolicę ku Tamizie. Po godzinie takiego skradania się od drzewa do drzewa — Tom uświadomił już sobie doskonale dokąd zdażali ten ponury pochód: zmierzał do czerwonego młyna.

Czerwony młyn może kiedyś był młynem. Ostatnio mieszkał w nim przewoźnik zwany powszechnie starym Fabianem. Mostu w okolicy nie było i Fabian na szerokiej łodzi przewoził ludzi z jednej strony rzeki na drugą.

Kilkakrotnie wydarzyły się Fabianowi wypadki. Nie wiadomo, czy się łódź wywracała, czy też wir ją jakiś porwał — dość, że ludzie z łodzi ginęli. Tylko stary Fabian umiał się zawsze jakoś wyratować.

Do tego młyna właśnie wieziono Dicksona.

— Pewnie go wsadzą na łódź i uczynią tak, że mistrz padnie ofiarą niby to wypadku na rzece. — myślał Tom.

Wnieśli detektywa do wnętrza. Tom wyczekał odpowiedniej chwili i wpadł do małej drwalki, tuż obok właściwego młyna.

Stary Fabian wyszedł akurat przed swój dom. Widać chciał się upewnić, że nikt w okolicy nie widział jak do jego domu wniesiono ciało.

Tom stał akurat w drwalce i czym prędzej skrył się za jakimiś narzędziami i rogożą, leżącą na ziemi. W pośpiechu zawadził o łopaty, czy inne narzędzia i spowodował hałas.

Z drżeniem serca widział Tom, jak stary Fabian skierował się szybkim krokiem do drwalki. Na szczycie stanął w niej tylko na progu.

Pozostając ciągle w ukryciu, Tom po mniej więcej pół godzinym oczekiwaniu dosłyszał zbliżające się kroki.

Człowiek zlekka powłóczył nogą

— To Hiszpan z balu! — rzekł do siebie Tom. — Dr. Spencer!

Spencer zapukał do drzwi rudery w specjalny jakiś sposób. Po chwili wyszedł stary Fabian, a za nim czterech zbirów.

Kulawy przez dłuższy czas pozostawał w rudery. Wyszedł wreszcie i rzucił krótko jakiś rozkaz.

Fabian wyprowadził ze stajni konia, zaprzągnął go do stojącego przed domem wozu i wszyscy odjechali.

Tom miał wprawdzie pewność, że już nikogo w starym młynie nie ma, ale mimo to z nieślychana ostrożnością zagłębił wytrych w otworze zanku od głównych drzwi.

Było wszędzie cicho. Z dala dobiegał jakiś podziemny, jakby plusk wody.

Tom przeszedł przez trzy izby Dicksona — nigdzie ani śladu. Nigdzie nie widać również było żadnego wyjścia i Tom daremnie szukał podłogi i ściany.

Kłęknał wreszcie na podłodze i zajrzał pod pryzcę, na której sypiał stary przewoźnik.

I właśnie wtedy, gdy tak kłęczał — pozuł Tom, że od dołu muska jego policzki chłodny, zlekka piwniczny powiew.

Tam w dole musiało być jakieś dodatkowe pomieszczenie.

Przekonany, że tam właśnie znajdzie swego mistrza — Tom począł szukać gorączkowo jakiegoś uchwyty, który umożliwiłby mu podniesienie desek.

Wreszcie znalazł. Z boku, przy ścianie wystawało duże rzemieńne ucho. Tom pociągnął zlekka za nie.

Prycza poczęła się opuszczać powoli, bardzo powoli, a równocześnie podłoga otwierała się.

Tom pochylił się nad otworem i poświecił swą latarką. Ledwo rzucił okiem w głąb, a już cofnął się przerażony.

Ujrzał widowisko wstrząsające!

## Pod ziemią i pod wodą

Ujrawszy starego Fabiana, Dickson domyślił się, gdzie jest. Znał Stary Młyn i wiedział, że ów przewoźnik jest przede wszystkim płatnym zbirem, który topi w ten lub inny sposób ludzi, zwabionych przez złoczyńców w to akurat miejsce.

Detektyw ze związanymi nogami i rękami leżał na kamiennej ławie. Bolały go wszystkie kości i mięśnie. Gdy próbował się z więzów uwolnić — postronki wpijały mu się jeszcze głębiej w ciało.

Jedna ze ścian podziemia była szklana i przez nią dojrzał detektyw brudne, zielonkawe wody Tamizy. Był zatem właściwie pod wodą, od której dzieliła go tylko szklana tafła.

W kącie wisały dwa kompletne ubiory nurków. Detektyw daremnie sobie łamał głowę nad sposobem wyjścia z tej strasznej sytuacji.

Nagle uszu jego dobiegł jakiś szmer.

W otworze na górze ukazał się człowiek w masce. Zeszedł na dół po kilku szczeblach żelaznych, wmurowanych w ścianę i zwrócił się do Dicksona:

— Znamy się, nieprawda?

— Oczywiście. Mam przecież przyjemność z dr. Spencerem.

— Przyjemność wątpliwa, chciał pan powiedzieć, mr. Dickson. Ale jak też się w życiu szybko role zmieniają. Dopiero co, ja byłem zdany na pana łaskę i nielaskę, a teraz jest akurat odwrotnie. Różnie bywa, prawda?

— A tak... Przekona się pan o tym, gdy role znów się zmienią. Bywa również bardzo niewygodnie, jak mnie w tej chwili. Dlatego też nie będę mógł prowadzić z panem, szanowny panie doktorze, dalszej rozmowy. Leżę na twardej ławie, mam związane ręce i nogi, głowę mam nisko... Jeśli pan chce, sbyłbym rozmawiał, proszę mnie posadzić.

Kulawy z udaną uprzejmością zerwał się.

— Ależ bardzo proszę! Służę panu najuprzejmiej!

Posadził Dicksona wygodnie. Detektyw poczuł, że wstępują weń nowe siły.

— Czy teraz panu wygodniej? — dopytywał się Spencer.

— Tak jest. Bardzo dziękuję.

Spencer przyglądał się przez chwilę Dicksonowi w milczeniu, wreszcie rzekł:

— Właściwie, to mi pana żal. Przyszedłem, aby panu uczynić pewną propozycję. Mam nadzieję, że pan się nad nią poważnie zastanowi. Chce mnie pan posłuchać?

— Z miłą chęcią... Nie ma jak rozmowa z ludźmi inteligentnymi...

— A zatem niech pan słucha, Dickson. Proponuję panu przejęcie moich funkcji i mego stanowiska w świecie — jak by się pan wyraził, przestępczym. Przy pana stosunkach w policji — może pan dokonywać cudów po prostu i z bogacie się w ciągu kilku miesięcy.

Dickson udawał, że go ta propozycja mocno interesuje.

— A pan, — rzucił, — czym się pan zajmie, czy nie zechce pan zająć mego stanowiska?

— Ja miałbym zostać detektywem?... To dobre sobie... Ja zostanę małżonkiem niepokieszonej wdowy po lordzie Landstope. Będziemy oboje mieli dużo pracy: będziemy musieli wydawać olbrzymie majątek lorda.

— Zajęcie wcale przyjemne, zwłaszcza, że majątek został zdobyty w sposób niezwykle pomysłowy i świadczący o pańskim rozumie, doktorze.

— No widzi pan, Dickson. Ciekaw jestem, czy pan zgłębił wszystkie szczegóły mego planu i jego niezawodnego wykonania?

— Wyznam panu, doktorze, że w jednym szczególe mam pewną wątpliwość. A jeśli ja mam wątpliwość — to dowód, że z pana mistrz nad mistrze.

Dickson liczył na próżność złoczyńcy i ciągnął dalej:

— Tak jest, mistrz nad mistrze z pana, skoro ja nie mogę jeszcze do tej chwili ustalić, co zrobiliście z młodym lordem.

— Aha! Wiedziałem! Wiedziałem — triumfował Spencer, — że tutaj nawet wielki Dickson będzie się uważał za pokonanego. To był plan genialny po prostu! Genialny!... Niech pan słucha, panie szanowny...

Przed dwoma miesiącami poznałem Magdaleny. Pokochałem ją. Ona mnie również. Byliśmy jakby stworzeni dla siebie. I postanowiłem, że dam mojej ukochanej wielki majątek.

Przyjaciółka Magdaleny — Bianka — miała wkrótce poślubić młodego lorda. Ułożyłem plan, który miał usunąć z drogi naszej ich oboje, a który jednocześnie miał u Magdaleny uczynić jedyną spadkobierczynią lorda.

Niech pan słucha, Dickson, dalej, bo to jest historia doprawdy genialna.

— Słucham, ale może mnie pan trochę przesunąć, bo mnie kości bolą od siedzenia nieruchomo...

— Bardzo proszę, w którą stronę?...

— Na prawo... Zlekka na prawo... O, tak, dziękuję. Jest pan jednak człowiekiem uprzejmym i uczynnym. Dziękuję najmocniej...

— Bardzo proszę... Ale niech pan słucha...

Przed wszystkim postarałem się zbliżyć do lorda. Przedstawiłem się jako hrabia Sallin, dostałem się do jego klubu i szybko zaprzyjaźniłem się z nim.

Na dwa tygodnie przed balem zamówiłem dwie pary kostiumów.

Na trzy dni przed balem usunąłem lorda i zastąpiłem go przez pewnego jegomościa, mocno doń podobnego, którego spotkałem na ulicy i skusiłem znacznym wynagrodzeniem.

Ten to młody człowiek, podobny do lorda, grał przez trzy dni rolę wielkiego pana i jeszcze miał przy rzeczonym kilka tysięcy funtów.

W przeddzień balu ów fałszywy lord wziął — oczywiście — jako prawdziwy, ślub z Magdaleną.

Blance, która się o swego ukochanego dopytywała, oświadczyłem, że lord wyjechał w podróż na kilka dni, i że wróci na bal. Na balu znów mój zastępca zbliżył się do Blanki i milczał, aby się nie domyśliła, z kim w istocie ma do czynienia.

— Dalej, — ciągnął Spencer, — pewnie się pan domyśla, jak się rzeczy ułożyły. Gdym zadał cios Blance — młody najemnik zbuntował się do reszty i chciał stanąć w jej obronie. Rozprawiłem się z nim krótko. Wywlokłem go do wozu, zawiozłem do willi i tam, choć mi bardzo było przykro, kula rewolwerowa dokonała reszty.

Staralem się zainscenizować prawdziwe samobójstwo. Wiem, że się pan na ten kawał wziąć nie dał, ale świadectwo ślubu lorda, czyli nieboszczyka, z Magdaleną leżało na widocznym miejscu, a gdy potem ciało usunąłem i podałem wzmiankę do tego brukowca — już wszyscy wiedzieli, że Magdalena została wdową po lordzie.

Oczywista, że powrót do zdrowia Blanki byłby dla mnie katastrofą. Dlatego nastąpiłem na nią skrytobójcę. Nie udało się. Ale jeszcze się uda. To nic straconego.

Teraz już pan wie wszystko, Mr. Dickson. Czy to panu wystarczy?

— Tak jest, — brzmiała spokojna odpowiedź. — Teraz już mam wszelkie dane, aby pana zaareztować i oddać w ręce sądu. Oczywiście, że nie omieszkać zwolnić nieszczęśliwego lorda.

— Oczywiście!... Tylko wątpię, czy szanowny pan na to dość czasu znajdzie, bo za kilka minut — już będzie po wszystkim. Zresztą, nie wie pan wcale, gdzie się lord znajduje. Ale ja to panu chętnie powiem. To tak samo jakbym powiedział nieboszczykowi. Bo pan tę tajemnicę zabierze ze sobą do grobu... Lord, drogi mr. Dickson, jest w klinice znakomitego dr. Douglasa... Zna pan tę klinikę dla chorych umysłowo... To bardzo pożyteczny zakład... A jego właściciel jeszcze lepiej niż z wariatów czynić zdrowych, umie ze zdrowych czynić wariatów... Już pan teraz wie wszystko. Nie dostałem jeszcze odpowiedzi na moją propozycję. Chce pan zająć moje stanowisko?

— Nie!

— Spodziewałem się tego. Ale proponuję panu coś innego: da mi pan słowo honoru, że nie uczyni nic na moją szkodę, a zwolnię pana również. Zgoda?

Odpowiedź i tym razem brzmiała zdecydowanie:

— Nie!

— Tego się nie spodziewałem. W takim razie musi już pan sobie przypisać to wszystko, co za chwilę nastąpi. Zegnaj pana.

Dickson milczał. Bez słowa spoglądał za bandytą, wchodzącym po szczeblach do góry.

Gdy tylko Spencer wyszedł — Dickson zaczął działać.

Ubrania nurków!... Gdy tylko je dostrzegł, zaświtała w jego głowie możliwość ratunku.

Niewątpliwie w tych kompletach wchodzili złooczyńcy pod wodę i z łodzi ściągali swe ofiary w głę-

binę. U boku mieli noże. Bo czasem przecież ofiara mogła się bronić.

Te noże miały odegrać rolę zbawców detektywa.

Prosząc najpierw, aby go Spencer posadził, a potem, aby go przesunął, miał Dickson właśnie te noże na myśli. Chciał być ich jak najbliższej. Chciał je dosięgnąć zębami.

★

Na górze tymczasem słychać było jak się ludzie szykują do drogi.

Dickson był już blisko jednego z noży. Już dosięgał go ustami.

Ale o zgrozo!

Szklana tafła poczęła się przesuwac. Powoli tworzyła się z razu mała szczelina pomiędzy szkłem a jego dolną ramą. Przez tę szczelinę saczyła się już woda! Trzeba się było spieszyć.

Dickson schwycił zębami nóż. Teraz jednak czekało go zadanie najtrudniejsze. Trzeba było tak działać, aby nóż dostał się między ciało i powrozy.

Woda tymczasem już dochodziła do wysokości kostek. Pienila się za szybą mętna woda Tamizy i napierała na otwór oraz gwałtowniej!

Dickson ustawił wreszcie nóż. Począł poruszać barkami w górę i w dół.

Nareszcie! Pierwsza lina pękła! Jedna ręka była wolna.

Ale woda wpada już teraz z impetem i komorę zalewają całe fale. Dickson czuje, że ma wody po kolana... Czy starczy mu czasu, aby uwolnić drugą rękę i nogi, aby ratować się po szczeblach?...

Te właśnie scene ujrzał Tom Wills.

Cofnął się przerażony, ale tylko na chwilę. Schwycił mocny postronek, poświecił w głąb komory i rzucając linę zawołał:

— Mistrzu! Jestem! Idę!

Dickson uchwycił się liny. Tom zeszedł doń, przecinał więzy, pchał i ciągnął, czyniąc wszystko, aby wydostać swego mistrza z grożącej mu topieli.

Gdy znaleźli się na górze — komora była już prawie całkowicie wypełniona. Dopływ wody ustał.

Detektyw padł zupełnie wyczerpany.

Tom wlał mu w usta łyk koniaku. Począł potem rozcierać jego zeszywniałe członki. Po kilku minutach Dickson był już znów pełen sił i energii.

Ucałował swego ucznia serdecznie.

— Uratowałeś mi życie, Tomku...

Tomkowi lzy cisnęły się do oczu. Były to lzy szczęścia.

Nagle poczęli obaj nadśluchiwać.

— Idą, mistrzu!

— Tak, idą. Rozprawimy się z nimi tutaj.

Ludzie byli pijani: słychać było z daleka ich hukanie i krzyki.

— Prędzej! — wołał Dickson do Tomka, kierując go ku wyjściu z rudery.

Wybiegli chyłkiem, nie spostrzeżeni przez nikogo. Tamci weszli do środka.

Detektyw spojrział na zegarek.



— Za pięć minut, — rzekł, — przejdzie tędy patrol policji rzecznej. Zatrzymaj ich, Tomku. Narazie zamkniemy drzwi i okiennice.

Ciężkie, drewniane wrota zapadły się. Dickson założył je na skobel. Nikt od wewnątrz tego manewru nie zauważył.

Tom kierował się właśnie ku okiennicom, gdy z rzeki rozległo się buczenie motorówki policyjnej.

— Pędź do nich! Zatrzymaj ich! — szepnął detektyw do swego ucznia.

★

Oddział złożony z pięciu policjantów otoczył dom.

— Wychodźcie po jednym! — zadudnił potężnym basem sierżant policji, strzeliwszy dla postrachu przez szybę w sufit.

— I ręce do góry! — dodał.

Ludzie nie sprzeciwiali się.

Czterech pomocników Spencera i stary Fabian zostali skuci w kajdany bez większych trudności.

Więźnowie zostali załadowani na motorówkę

— Przyślijcie nam wóz, a w nim Bella Cleavera i kilku tegich chłopców, — rzekł Dickson. Zadzwońcie po nich z najbliższego telefonu, my tu czekamy.

Ukryli się, licząc, że może Spencer nadejdzie. Ale go nie było.

Zjawił się za to w samochodzie policyjnym Bell Cleaver z pięciu dobrze uzbrojonymi ludźmi.

— Sanatorium dr. Douglasa! Chatham! — rzucił Dickson.

Samochód ruszył pełnym gazem.

Dr. Douglas spał smacznie, gdy śród nocy zbudziło go kołatanie do drzwi jego kliniki. Furtka została już dawno otworzona przez detektywa, za którym weszli do ogrodu policjanci.

— Kto tam?

— Swoi! — rzekł Dickson.

— Co to za żarty? — denerwował się doktor.

Jednocześnie u dwojga drzwi majstrowali policjanci i po kilku chwilach, korzystając z tego, że doktor zajęty był z Dicksonem, znaleźli się w samym gmachu.

Nim się doktor obejrzał, trzymało go dwóch rosyjskich policjantów.

Dickson zjawił się u boku doktora.

— Zaprowadzi nas pan do lorda Landstope. Tylko całkowita skrucha może ułatwić panu stanowisko wobec sądu i złagodzić karę.

Lekarz już się nie opierał.

W pokoju dla szaleńców o wybitych karkiem ścianach leżał teraz śpiąc młody lord Landstope. Był bliski obłądzenia. Nie miał słów wdzięczności dla Dicksona. Ten szlachetny człowiek znalazł nawet kilka słów usprawiedliwienia dla swego prześladowcy.

— Wiem, że się doktor opierał Sallinowi. Ale tamten go prawie zmusił. I codziennie przychodził i groził... Co słyhać u mojej Blanki?... Czy nic jej nie dolega?...

— Nic. — rzekł Dickson lakonicznie. Lord był wolny.

★

Nazajutrz, wypocząwszy nieco, Dickson, Tom Wills i lord udali się do Landstope.

Gdy sędziwy służący ujrzał młodego lorda — zbiegł w panicznym lęku. Przecież cały dom wiedział, że mody dziedzic nie żyje!...

— Przecie teraz u jasnie oświeconego lorda ojca, jest wdowa po paniczu, — biadał starzec, gdy się wreszcie zdecydował podejść bliżej do rzekomego „ducha“.

— Zapewne i jej młody krewniak jest też tutaj? — informował się Dickson.

— A tak. Jest. Ma się rozumieć.

— Zrobimy im zatem niespodziankę. Proszę powiedzieć temu młodemu panu, że ktoś na niego czeka w salonie.

Służący, mocno ociągając się, wyszedł z pokoju. Wrócił po chwili, zdetonowany i czegoś przejęty.

— Pan doktor gniewał się na mnie bardzo. Nie wolno mi nikogo wpuszczać do domu bez jego pozwolenia. Mówił, że są tutaj wielkie nieporządki. I że on już to zmieni.

Młody lord zbladł z gniewu i ruszył ku drzwiom.

— Bezcelność tego zbrodniarza przekracza przecież wszelkie granice! Skończę z nim w tej chwili!

Dickson zastąpił drogę tak ciężko doświadczonemu człowiekowi:

— Nie wolno nam się unosić, — perswadował mu. — Musimy się teraz opanować, by w ostatniej chwili nie zepsuć plonów mej ciężkiej pracy. — Co jeszcze mówił pan doktor? — zwrócił się detektyw do starego sługi.

— Żądał biletu wizytowego, kazał, żeby się ten ktoś zameldował, jak jest w zwyczaju w przyzwoitym domu. Tak mówił.

Dickson uśmiechnął się.

— Miał rację, w gruncie rzeczy.

Detektyw miał zawsze w swym portfelu najrozmaitsze bilety wizytowe. Opiewały one na nazwiska fikcyjne. Gdy trzeba było, przedstawiał się jako książe rosyjski, gdy zaszła inna potrzeba — legitymował się jako uczonec lub kupiec. Tym razem detektyw wybrał bilet, jaki uznał za najodpowiedniejszy i wręczył go słuzacemu.

— Oto mój bilet wizytowy — rzekł. — Proszę mnie jeszcze raz zameldować.

— „Etienne Gaillard“ — czytał służący. — Znam francuski, jak panowie widzą. — „Skup i handel dziełami sztuki“. Już idę, Monsieur Gaillard — skłonił się służący.

— Spencerowi powinna taka wizyta zaimponować — wyjaśnił Dickson. — Nabędzie przeświadczenie, że — jak każdy bogaty człowiek — już się musi bronić przed ofertami antykwariuszy i handlarzy obrazami.

Służący wrócił po chwili.

— Pan zaraz idzie.

Nastąpiła chwila pełnego napięcia wyczekiwania.

BIBLIOTEKA  
BN  
KRAKÓW

— Schowaj się za firankę — szepnął w ostatnim momencie detektyw do Toma. — I pałkę gumową miej w pogotowiu!

Jak kot rzucił się Tom za ciężką portierę.

Spencer wszedł pewnym krokiem.

— Monsieur Gai...

Głos zamarł mu w gardle.

Nawprost niego stał Dickson z rewolwerem gotowym do strzału.

Blady, drżący lotr milczał przez chwilę. Walczył ze sobą, by nie dać po sobie poznać, że ogarnął go śmiertelny strach.

— Ręce do góry! — padła komenda z ust Dicksona

Powoli uniosły się drżące ramiona Spencera i bezwładnie, zgięte jak u starca, zatrzymały się nad głową.

— Tom! Kajdany!

Młody człowiek wypadł ze swej kryjówki.

Rozległ się szczełk zaszepniających się zamków. Po chwili Spencer był już całkowicie w mocy detektywa.

— Czy mogę usiąść? — jęknął Spencer i, nie czekając pozwolenia, padł na najbliższy fotel.

Z piersi jego dobyło się teraz westchnienie jakby ulgi.

— Zatem wszystko skończone — rozległ się twarde glos Dicksona. — Skończy się wszystko dopiero po wyroku sądowym. A jaki on będzie — tego się chyba wszyscy domyślamy.

Krople potu wystąpiły na czoło zbrodniarza.

— Tak — powtórzył jak echo. — Wszyscy się domyślamy... Wszyscy. — Niezręcznym ruchem, bo skrepowanymi przez kajdany rękami sięgnął do kieszeni.

Tom dopadł go.

— Nie, nie to — młody człowieku — uśmiechnął się Spencer. — Nie sięgam ani po broń, ani po truciznę. Chcę tylko otrzeć pot z czoła. Czy ja wiem... to pewnie pot lęku. Siódme poty na mnie wystąpiły — jak to mówią.

Dobyl chusteczki i otarł czoło.

— Mam do pana jedną prośbę, Dickson.

— Słucham.

— Oszczędźcie Magdalene. Ona nie jest bez serca. To moja wina, że zeszła na drogę zbrodni. Proszę dla niej o tę jedną łaskę, że gdy będziecie ją aresztowali, niech tego lord-ojciec nie widzi. Bo ora jakby w ostatniej chwili poczuła sympatię dla tego człowieka. Czy mi pan to może przyrzec?

— Przyrzekamy to panu również ze względu na mego oca — odparł młody lord, porozumiewając się spojrzeniem z Dicksonem.

— Jak pan to zamierza zrobić — zwrócił się Dickson do Spencera.

— Jeżeli można. to ja ją sam tutaj wezwę.

— Dobrze — rzekł krótko detektyw. — Tom pójdzie z panem.

Wyszli obaj z salonu. Spencer skierował się na schody i, znalazłszy się przed drzwiami sypialni lorda, zawołał z lekka podniesionym głosem:

— Magdaleno!

Rozległy się jej kroki.

— Dokąd pani idzie? — dosłyszał Tom słaby głos chorego.

— Wróć za chwilę, proszę się nie niepokoić. Ktoś mnie wołał.

Spencer ze skutymi rękami ukrył się za Tomem w ten sposób, by Magdalena nie dojrzała kajdanów.

W drzwiach stała Magdalena.

Musiła znać Toma Willsa, gdyż poznawszy go, cofnęła się o krok.

Ale Spencer ją uspokoił:

— Zejdziemy na dół. Wszystko jest w porządku. Ten pan chciał z nami pomówić. Proszę cię, idź przodem.

Znów Spencer tak manewrował, by jego skutych rąk młoda kobieta nie mogła dojrzeć.

Tom czytał w całej jej postawie, w jej spojrzeniu niepewnym, że nie wie jak się zachować, że choć przeczuwa jakieś niebezpieczeństwo, ale nie chce się z tych obaw zdradzić. Po chwili jakby się ożywiła. Tom odniósł wrażenie, że widać — po swojemu — rozumiała Spencera. Oto schwytał przeciwnika i teraz chce jakimś podstępem sprawdzić na dół. I miss Berdon ruszyła już szybkim krokiem na dół.

— Tutaj proszę — wskazał jej drogę Tom

Stała oko w oko z Dicksonem.

Powiodła po detektywie błędnym spojrzeniem, a potem rzuciła się ku drzwiom nagle, może instynktownie, bo przecież wiedziała, że taka ucieczka nie może się udać.

Ale w drzwiach stał Spencer. Podniósł teraz ręce w ten sposób, by kajdany były widoczne

— Stój — rzekł głucho. — Przegraliśmy!

Tom podbiegł w ostatniej chwili, by wesprzeć mdlejącą Magdalene.

★

Gdy odzyskała przytomność poprzez lzy zaczęła się tłumaczyć, że w gruncie rzeczy nie mogła się pogodzić ze zbrodniczymi planami Spencera.

— Gdyby nie ja, jużby lord nie żył! Nie żyłby na pewno! — wołała.

Harry Dickson zainteresował się tym szczegółem.

— Czy można wiedzieć w jaki sposób uratowała pani życie lorda-seniora?

Teraz Magdalena rozumiała, że starając uwolnić się choćby od części ciężących na niej zarzutów — obciąża Spencera.

Ale ten zatwardziały zbrodniarz umiał się w ostatniej chwili zdobyć na bohaterstwo niełada.

— Mów wszystko, — rzekł. — Mnie już i tak nic nie wyratuje.

Poprzez nowy atak spazmów Magdalena wyrzekła wreszcie:

— Na stoliku lorda... Lekarstwo...

Zatrzymała się nagle.

— ...Zatrute? — podchwycił Dickson.

Młoda kobieta skinęła głową.

★  
Słowa Magdaleny potwierdziły się: Spencer zamierzał otrąć i lorda-ojca.

KONIEC

To jej wstawiennictwo o życie lorda przekonało sędziów, którzy wymierzili jej po głównym procesie łagodną karę. Los Spencera był przesadzony od pierwszej chwili.

Cud techniki  
NOWOCZESNIEJ



Automat-Pistolet „Grom” kal. 6 m/m — jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski, pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem autonomicznie wytrzuca gizy. Huk kolosalny. Wyknanie luksusowe. Rekojęści wykadane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6,95. Dwie sztuki zł. 13,50. Setka naboji system „Flaubert” zł. 3,65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listownie zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Za przesyłkę płaci kupujący. Adresujcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

**Kazimierz Kołodziejczyk** oddz. 2  
Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 H. D.



**PALACZE TYTONIU**  
Ratujcie zdrowie  
Nikotyna zatruwa organizm

Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-oh godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „IDEAL”, a ochotnicie swe zdrowie i przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL” daje możność zaciągania się i oddziaływa zbawienne na błonę śluzową nosa i gardła. „IDEAL” wzmacnia i krzepi organizm, dając zadobrowienie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych. — Cena zł. 2,45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na listownie zamówienie, za przesyłkę płaci kupujący. Adresujcie:

**Kazimierz Kołodziejczyk** oddz. 2  
Warszawa, Pl. Napoleona I skr. poczt. 802 H. D.

**SIŁA i ZDROWIE!**



JAK ZOSTAĆ SIŁNYM i ZDROWYM!  
PODRĘCZNIK GIMNASTYKI i ATLETYKI Z 49-MA RYCINAMI ORAZ Z TABLICAMI ĆWICZEN.

Nasza metoda gimnastyczno - zdrowotna dostępna jest dla każdego. Codziennie bez żadnego aparatu łatwo wykonalna. Nasza książka — to rzecz niezbędna dla każdego. Słabi fizycznie, nie używający ruchu sportmeni znajdują w naszym podręczniku wiele cennych rad wskazówek, jak zsiąć siłnym i zdrowym. Stosując naszą metodę w ciągu krótkiego czasu każdy staje się siłniejszym i zdrowszym. Nasza książkę o siłę i zdrowiu wysyłamy wraz z ciekawą książką W. Zalewskiego „O życiu powojennym”. Cena całego kompletu zł. 3,25 gr. Wysyłamy na listownie zamówienie, płaci się przy odbiorze. Za przesyłkę płaci kupujący. Adresujcie:

**Kazimierz Kołodziejczyk** oddz. 2  
Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 H. D.

**Czarna i biała magia**



Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zreczości. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Poltykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca fiaska. Jajo w butele. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Sense soirystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarną Magią różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3,95. Wysyłamy na listownie zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Za przesyłkę płaci kupujący. — Adresujcie:

**KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK** oddz. 2  
Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 H. D.  
UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę p. t. „Poznaj siebie i bliźnich!!!” Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.

*Pomoc zimowa  
to czyn — nie słowa...*

Następny **Mr. 61 Harry Dicksona,**  
który ukazuje się we wtorek, dn. 7-go marca  
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

**TRAGEDIA STAREGO RODU**

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.

-6. III. 1939. III



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który mógł powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebierania się, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem — tkwi widocznie tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.

### Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- |                                    |                              |
|------------------------------------|------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“                   | 30. CZARNY MŚCICIEL.         |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI.       |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“         | 32. POŻAR W MIASTECZKU.      |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“              | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG.       |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“             | 34. WILKOŁAK.                |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“             | 35. GWIAZDA POLARNA.         |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“                 | 36. KWADRATOWE OKNO.         |
| 8. „KRÓL NOCY“                     | 37. WODNY CZART.             |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“                | 38. DUCH W ZAMCZYSKU.        |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“          | 39. UPIÓR W TEATRZE          |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“             | 40. DEMON WIATRU.            |
| 12. „KAPLANKA OGNIĄ“.              | 41. SOBOWTÓR.                |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY          | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC.    |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA                   | 43. DANCING NA BŁOTACH.      |
| 15. WIDMO TUŁACZA                  | 44. PRZEDZIWNY HOTEL.        |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT           | 45. SREBRNA MASKA.           |
| 17. DUCH ŚWIATŁA                   | 46. SIEDEM KRZESEŁ.          |
| 18. CZERWONA DAMA                  | 47. DIABELSKI SKARB          |
| 19. MIASTO PIRATÓW                 | 48. KAT LONDYSKI.            |
| 20. POSTRACH LONDYNU               | 49. CZERWONY SUŁTAN.         |
| 21. Tajemnica Łodzi podwodnej      | 50. PRZYGODA MALAJSKA.       |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN               | 51. SYNOWIE NOCY.            |
| 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.           | 52. KRÓL ŻELAZA.             |
| 24. HAWAJSKI SZTYLET.              | 53. WALKA W TUNELU           |
| 25. WOSKOWE JABŁKO                 | 54. ZBRODNICZY AUTOMAT       |
| 26. WIELKA GRA.                    | 55. Tajemnica profesora FOXA |
| 27. HOTEL EMIGRANTÓW.              | 56. W PIASKACH SAHARY        |
| 28. KRWAWE KLEJNOT                 | 57. DWANAŚCIE SERC           |
| 29. SZTUCZNE ZŁOTO.                | 58. ŻYWE PORTRET             |
|                                    | 59. ZAMEK NA SKAŁACH         |

Czytajcie

# PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

**10 gr.**

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

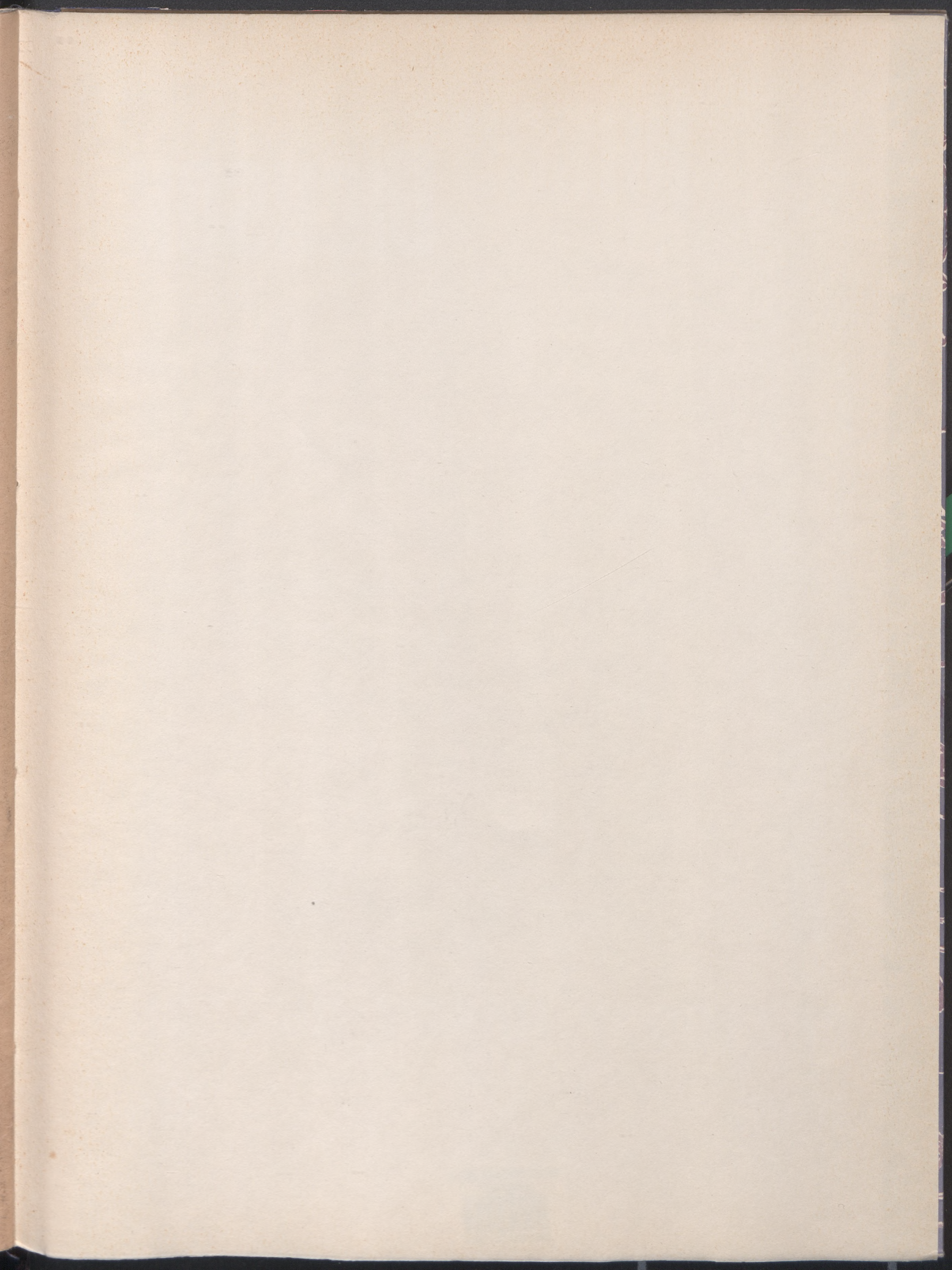
**szyt, stanowiący oddzielną całość**

Cena

**10 gr.**

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Łosiew. Zamieszkał w Łodzi.  
WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Odbito w drukarni własnej, Łódź, ul. Piotrkowsk., 49 i 64.  
Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136 56.

1939 e.o. 3598





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024366302



24j  
623405/60

